

Krzysztof Pilawski

Po prawie czterech latach nieobecności szyld wyborczy Sojuszu Lewicy Demokratycznej powróci. Rada Krajowa SLD postanowiła, że w wyborach do Parlamentu Europejskiego partia wystartuje pod własną nazwą. W wyborach europejskich mogą zatem wziąć udział cztery komitety odwołujące się do wartości lewicowych: SLD, centrolewica skupiona wokół Socjaldemokracji Polskiej i Partii Demokratycznej, Koalicja PPS i Racji PL oraz Polska Partia Pracy.

Decyzja kierownictwa SLD wyraża pogląd sporej części aktywu, który ma dość zawierania koalicji ze znacznie słabszymi partnerami. Niepokoi go fakt, że ceną koalicji jest uszczuplenie stanu posiadania Sojuszu w Sejmie i samorządach. Ma to szczególne znaczenie w warunkach niskiego poparcia dla lewicy. Największa grupa czynnych zawodowo działaczy SLD utrzymuje się przecież z diet radnych, etatów w samorządach oraz instytucjach podległych samorządom.

Aktyw jest przekonany, że wchodząc w koalicję z Socjaldemokracją Polską i Partią Demokratyczną, SLD sztucznie podtrzymuje przy życiu obie partie i po odłączeniu od kroplówki zakończą one swój żywot jako partie parlamentarne i samorządowe. Dlatego wypowiedzenie koalicji nie tylko nie wpłynie na obniżenie poparcia dla SLD, ale także doprowadzi do likwidacji potencjalnego konkurenta na lewicy. Ma to szczególne znaczenie w perspektywie wyborów samorządowych w przyszłym roku, które będą miały kluczowe znaczenie dla przyszłości Sojuszu. Słaby wynik i wyprowadzenie SLD z samorządów byłby równoznaczny z odejściem z partii kolejnej fali rozgoryczonego aktywu i utratą przez Sojusz zdolności organizacyjnych niezbędnych do uzyskania przynajmniej pięcioprocentowego poparcia w wyborach do Sejmu w 2011 r.

Niechętny koalicji aktyw SLD zyskał sojuszników w gronie niedoszłych koalicjantów. Nie spełniły się nadzieje Dariusza Rosatego budowy nowej centrolewicy. Nic nie wskazuje, by Porozumienie dla Przyszłości utworzone przez przedstawicieli SDPL, PD i Zielonych 2004 w obecnej postaci miało szansę na przekroczenie wyborczego progu. Już sama jego nazwa okazała się niefortunna – należy do istniejącego od kilku lat stowarzyszenia zajmującego się edukacją obywatelską.

Od miesięcy Dariusz Rosati, obiecując powstanie nowej jakości na centrolewicy, krytykuje SLD, utrudniając rozmowy w sprawie ewentualnej koalicji. Nie ułatwiło ich poparcie udzielone w niedawnych wyborach na prezydenta Olsztyna przez Porozumienie dla Przyszłości kandydatce, która była konkurentką oficjalnego kandydata SLD.

Jednak rozstrzygające znaczenie dla decyzji Rady Krajowej SLD o samodzielnym starcie w eurowyborach miał zamieszczony w „Gazecie Wyborczej” trzy dni przed posiedzeniem wywiad z Włodzimierzem Cimoszewiczem. Już sam tytuł – „SLD ma czas do soboty” – brzmiał prowokacyjnie. Tekst zawierał ultimatum popularnego polityka kojarzonego z lewicą, że wystartuje w wyborach europejskich tylko pod warunkiem, że „SLD zaakceptuje moją propozycję szerokiego porozumienia z udziałem m.in. polityków SDPL, SLD i demokratów.pl. Wyjaśni się to w sobotę, gdy zbiera się Rada Krajowa Sojuszu. Od niej zależy, czy zaistnieje centrolewica. Jeśli SLD się nie zgodzi, nie wystartuję”.

Wywiad Cimoszewicza spotkał się z ostrą reakcją działaczy SLD, którzy na portalu internetowym Sojuszu podkreślali swój gorący patriotyzm partyjny. Na szczególną uwagę zasługuje swego rodzaju manifest aparatu, którego autorem jest trzydziestolatek Radek Mołoń, sekretarz Rady Dolnośląskiej SLD. Uznał on, że „takim osobom jak pan Cimoszewicz, Rosati, Borowski, Onyszkiewicz nie zależy na budowie wspólnego frontu i nigdy nie zależało”. Mołoń

tłumaczył: „Każde zjednoczenie z definicji winno przynosić wartość dodaną, a w tym przypadku jest zupełnie odwrotnie, wbrew prawu jednoczenia. Pokazały to już wybory samorządowe i stan reprezentacji klubów SLD w sejmikach wojewódzkich, oddanie miejsca na listach reprezentantom PD i SDPL”. Choć PD i SDPL korzystały w wyborach z zaplecza organizacyjnego i finansowego Sojuszu, uzyskały reprezentację w Sejmie i samorządach, to – jak podkreśla działacz – „nie szanują nas, nawet się nas nie boją, swoją pozycję budują na uprawianiu negatywnej polityki w stosunku do SLD”. Podsumowując, Mołojć pyta: „Ile razy trzeba doświadczyć upokorzenia, żeby się przekonać, że tym osobom i ich kanapowym partyjkom zależy tylko i wyłącznie na własnym interesie?! Ile razy jeszcze nasz sztandar zostanie przez nich zmieszany z błotem?! Ile razy musimy doświadczać na własnej skórze, że ludzie ci zdradzą nas po raz kolejny - czy musimy znowu się o tym przekonać?!”.

W podobnym duchu, także odwołując się do wywiadu Cimoszewicza, pisał na portalu SLD Stanisław Kieroński, wiceprzewodniczący Rady Wojewódzkiej SLD w Lublinie: „Dosyć tego nadmuchanego ideowego blefu i politycznej blagi. Co innego znaczy lewica społeczna, a co innego kanapowe partyjki. Dajemy się podpuszczać i przekonywać, że te grupki to jakaś wielka magiczna siłą polityczna. Sami posłusznie i naiwnie włączamy się do budowy tej dziwnej mitologii. Co jest wstydlivego i trefnego w nazwie: Sojusz Lewicy Demokratycznej? [...] Drodzy Koledzy! Dosyć tego politycznego cyrku, dosyć tej wielkiej wieloznaczności interesów. Jestem za jednością lewicy. Znakomite dla niej miejsce jest w partii, której nazwa składa się z trzech pięknych członów: Sojusz Lewicy Demokratycznej.

Jestem za jedną listą wyborczą lewicy, której nazwa brzmi: lista wyborcza Sojuszy Lewicy Demokratycznej. Mam szacunek dla mojej Partii. Niech nas wyborcy jednoznacznie rozpoznają i identyfikują”.

Zbieżny punkt widzenia przedstawił w czasie posiedzenia Rady Krajowej Grzegorz Kurczuk, który w czasie wyborów parlamentarnych w 2007 r. przegrał - mimo pierwszego miejsca na lubelskiej liście LiD - mandat posła z Izabellą Sierakowską z Socjaldemokracji Polskiej. „Mamy być lewicą, a nie centrolewicą. Opowiadam się za szyldem SLD” – mówił. Wystąpienie Kurczuka wywołało, jak relacjonowała „Trybuna”, największy entuzjazm członków Rady Krajowej.

Kurczuk i Kieroński, przedstawiciele starszej generacji patriotów SLD, jeszcze widzą potrzebę programowego odróżnienia Sojuszu od innych podmiotów politycznych wchodzących wcześniej w skład LiD, uniknięcia zarzutów, że chodzi im wyłącznie o stołki i rozmaite dochodowe miejsca. Jednak odwoływanie się do kwestii programowych ma wymiar bardziej rytualny (są w tej dziedzinie spadkobiercami PZPR) niż realny, wynikający z rzeczywistej chęci zmian. Dla trzydziestolatka Mołojcia, podobnie jak dla znacznej grupy jego rówieśników popierających Grzegorza Napieralskiego, program w ogóle nie jest istotny.

Jesienią ubiegłego roku opublikowano wyniki badań aktywu SLD, z których wynikało, że 70 proc. działaczy Sojuszu jest przeciwna ingerowaniu państwa w gospodarkę, połowa popiera podatek liniowy i tzw. elastyczne formy zatrudnienia, niemal jedna trzecia uważa homoseksualizm za zjawisko sprzeczne z naturą ludzką, a prawie połowa opowiada się za przywróceniem kary śmierci. Potwierdzenie przez naukowców trudnych do pogodzenia z lewicowością poglądów działaczy SLD nie poruszyło Mołojcia. Uznał je nawet za atut partii. Pisał na portalu SLD: „Badania przeprowadzone przez Wolny Uniwersytet w Brukseli oraz Uniwersytet Wrocławski ukazały zróżnicowany przekrój części społeczeństwa polskiego skupionego w SLD, ludzi reprezentujących różne poglądy i mogących bez żadnych ograniczeń o nich mówić. Czy nie tak powinna wyglądać dyskusja w nowoczesnej demokratycznej partii?

Ja przynajmniej tak uważam”.

Coraz silniej decydujące o przyszłości SLD środowisko młodego aparatu nie dostrzega programowych różnic między nim a Socjaldemokracją Polską, Partią Demokratyczną, a w wielu punktach także Platformą Obywatelską oraz Prawem i Sprawiedliwością. Ten aparat jest bardzo funkcjonalny – w samorządach dogaduje się z innymi opcjami, stawiając wyżej własny interes ponad interes wyborców lewicy. Młodsza generacja aktywu SLD traktuje tę partię jako instrument zaspokojenia własnych potrzeb życiowych. SLD to tort, który chcą dzielić między siebie. Chcieliby, aby był większy niż obecnie. Dlatego podziwiają Leszka Millera, który w 1999 r. przekształcił SLD z koalicji w jednolitą partię i poprowadził ją do wielkich zwycięstw w latach 2001 i 2002 (wybory samorządowe), zapewniając tysiące miejsc pracy dla aktywu.

Grzegorz Napieralski, który wielokrotnie zapowiadał tzw. zwrot na lewo, już po posiedzeniu Rady Krajowej oznajmił, że na listach wyborczych SLD widzi Włodzimierza Cimoszewicza i Dariusza Rosatego, którzy wielokrotnie uznawali dokonywanie zwrotu na lewo za błąd. Dla Napieralskiego, podobnie jak dla popierającego go aktywu, ważniejsza jest przynależność korporacyjna niż identyfikacja programowa. Interesuje go przede wszystkim formuła udziału w wyborach, kto będzie układał listy: on czy Cimoszewicz, Kwaśniewski, Rosati, Onyszkiewicz. Decyzja Rady Krajowej o starcie w wyborach europejskich pod własnym szyldem oznacza zwycięstwo grupy Napieralskiego nad pozastatutowymi gremiami związanymi z Aleksandrem Kwaśniewskim i jego otoczeniem, które zmusiły swego czasu Millera do rezygnacji ze stanowiska przewodniczącego partii i ustąpienia z urzędu premiera, a następnie przejęły kontrolę nad SLD. Ośrodek skupiony wokół byłego prezydenta wyraźnie osłabł. Jego niedawni bliscy współpracownicy, choćby Marek Siwiec i Jolanta Szymanek-Deresz, troszcząc się o własną godną przyszłość, uznali wypowiedzenie koalicji. Cieszącym się przychylnością Kwaśniewskiego ugrupowaniom: Socjaldemokracji Polskiej i Partii Demokratycznej grozi zejście ze sceny politycznej. Rzeczywiście, dziś utrzymują się głównie dzięki LiD – koalicja zapewniła im miejsca w Sejmie i samorządach oraz dotację państwową dla partii politycznych.

Jeśli „patriotyczna” euforia w SLD utrzyma się, to kolejna próba odwołania Wojciecha Olejniczaka z funkcji szefa klubu poselskiego zakończy się sukcesem. Posłowie klubu ulegną długopisowi Napieralskiego, który – jak się teraz wydaje – będzie decydował kogo wpisać na listy wyborcze, a kogo skreślić. Wśród parlamentarzystów skupionych w klubie Lewica jest wielu, którzy liczą już kadencje dzielące ich do emerytury. To nie sprzyja oporowi – raczej uległości. Olejniczak prawdopodobnie stanie przed wyborem: albo kandydować do europarlamentu, albo pożegnać się z fotelem szefa klubu. Gdyby konkurencyjna oferta centrolewicowa była poważniejsza, wybór byłby większy.

Marek Siwiec liczy na piętnastoprocentowe poparcie dla listy SLD. Osiągnięcie podobnego wyniku wydaje się dziś mało realne. Szyld Sojuszu Lewicy Demokratycznej po raz ostatni pojawił się w wyborach parlamentarnych we wrześniu 2005 r. SLD uzyskał wtedy poparcie 11,31 proc. wyborców. W wyborach samorządowych przeprowadzonych w listopadzie 2006 r. debiutowała koalicja Lewica i Demokraci. W wyborach do sejmików województw, które w największym stopniu przypominają wybory parlamentarne LiD zdobył 14,25 proc. W wyborach parlamentarnych w październiku 2007 r. tę koalicję poparło 13,15 proc. Indywidualne wyniki niektórych polityków koalicyjnych (choćby Mariana Filara, Jana Widackiego, Bogdana Lisa, Marka Borowskiego, Andrzeja Celińskiego, Marka Balickiego, Marka Arłukowicza, Izabelli Sierakowskiej, Zdzisławy Janowskiej, Bożeny Kotkowskiej) wskazują, że formuła LiD przyniosła lewicy kilka punktów procentowych.

W wyborach do europarlamentu w 2004 roku koalicja SLD-UP zdobyła 9,35 proc., uzyskując

pięć mandatów. Poparcie dla SDPL wyniosło 5,33 proc (trzy mandaty), a dla Unii Wolności – 7,33 (cztery mandaty). Tak więc główne partie tworzące później LiD uzyskały w sumie poparcie 22,01 proc. i zdobyły łącznie 12 mandatów spośród 54, które przypadły Polsce.

Optymizm Marka Siwca ma charakter urzędowy i osobisty zarazem – obecny europoseł będzie się ponownie ubiegał o mandat. Młodego aparatu los Marka Siwca niewiele interesuje. Co więcej nie jest dla niego najważniejsze, czy SLD osiągnie w wyborach do Parlamentu Europejskiego dwucyfrowe poparcie. Głównym celem będzie zdobycie takiej przewagi nad centrolewicową konkurencją, która zniechęci ją do udziału w następnych wyborach. Dzięki temu SLD zostanie jedyną liczącą się siłą na lewicy, a politycy z innych lewicowych partii będą mieli do wyboru: przyłączyć się (co niekoniecznie oznacza, że zostaną dopuszczeni) albo zrezygnować z działalności.

Wybory do europarlamentu mają oczyścić przedpole najbliższych wyborów samorządowych i parlamentarnych. O to właśnie, moim zdaniem, tak naprawdę chodzi w przedstawionej w czasie Rady Krajowej strategii „SLD 2010plus”.

Krzysztof Pilawski, dziennikarz, publicysta, stały współpracownik „Przeglądu Socjalistycznego”